Lwów, 18. Stycznia. №8. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po **1½** kr. i za dopłatę **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wieśniacy cofnęli się i popadali na kolana, zobaczywszy straszną twarz nieboszczyka, a za ich przykładem wszyscy obecni mimowolnie pokłękli, pozdejmowali czapki, i cicho poczęli odmawiać Anioł pański. Jeden tylko Hawnul cofnął się w tył i stanął opodal niemówiąc słowa, przybity, gniewny, okiem zajadłości pełnem mierząc Wilczurę, który się najgoręcej modlił na brzegu przeciwnym mogiły.

Nie rychło po doznanem wrażeniu zebrał się Szumczykiewicz usta otworzyć.

— Mości panowie rzekł, dobywając talara z worka, oto mój datek na żałobne nabożeństwo za duszę nieboszczyka, złóżmy się acz niewinni na modlitwę, a zapiszmy świadectwo które wydał...

I pan Stefan Wilczura i Turzon i inni, aż do włościan rozwijających z węzełków zapaśne groszaki, aż do Matjasza Wiły, który dał berlinkę, wszyscy w milczeniu przyczynili się do składki, która na ręce pisarza sądowego tymczasowo oddana została. Hawnul niewiem czy słyszał o czem była mowa, bo stał z boku, i nie sięgnął do worka.

— A teraz rzekł Szumczykiewicz, zacisnąć wieko, i zasypać zwłoki... My tu już niemamy co robić dłużej.. Władza miejscowa dopilnuje reszty.....

To mówiąc zakasał poły członek sądu, i zabrawszy z sobą wszystkich, pociągnął przez błotko na miejsce, gdzie Bruderkowski stękając: O la boga! co chwila oczekiwał rezultatu poszukiwań, niecierpliwiąc się, i kraciastą chustką przykrywając od spiekoty.

Hawnul który w dalszem prowadzeniu sprawy nic dla siebie pomyślnego nieprzewidywał, pozostał jak przykuty przy mogile, to stojąc słupem nad nią, to obiegając ją do koła. Może obawiając się wybuchu jego gniewu, czy też dla dopilnowania się dalszego, Wiła nawet pociągnął za Szumczykiewiczem, tak że zostawili go samego na hrudku z Żużlem i gromadą zasypującą ową nieszczęsną mogiłę.

Paweł i ludzie którzy mu towarzyszyli z obawy rozjątrzonego pana słowa się odezwać nie śmiejąc, nazad odrzuconą zasypywali ziemię, spoglądając tylko niekiedy na dziedzica, walczącego jeszcze z wrażeniem jakie na nim wywarł ten wypadek.

Dziki jakiś śmiech przejął ich dreszczem, obejrzeli się i zobaczyli Hawnula, który plunąwszy na mogiłę, krzyknął:

— Diabeł że was bierz żywych i umarłych psie syny!!

I to powiedziawszy nie ku gromadce sądowych, ale wprost przez błoto i trzęsawiska żywo widać go było pospieszającego ku dworowi; po chwili znikł im z oczów w gęstych zaroślach.

Łatwo się już domyśleć jaki był dalszy tok sprawy; Szumczykiewicz podyktował akt rozkopania i natychmiast redukt przeciwnej strony poprowadzono, idąc nad wodociecza do prawdziwego kopca granicznego w r. 1611 usypanego, od którego linja do Semenowej Barci na uroczysko Wilczopole wraz z strumykiem zajęła do Serebrzyniec całą sianożęć na pogrudziu. Kopiec stary acz mało znaczny i zapadły, choć zeń pal dębowy wyjęto dawno, wskazany został przez chłopów Serebrzynieckich, opatrzony, i za termin *per quem* uznany; sianożęć przysądzono panu Stefanowi Wilczurze.

Wiła w imieniu pryncypała swego, który się już sam nie pokazywał, wykręcał się różnie, podstawiał mappy, wynajdywał dokumenta, a zwłaszcza jeden polubownej zgody nie ze wszystkiem formalny, ale pozornie stary. Nic to już nie pomogło. Dekret stanął czarno na białem, przyznający własność Serebrzyńcom i nakazujący sypanie kopców nowych.

Pan Samuel już się więcej jawnie nie pokazał i widomie nie czynił nic przeciwko sąsiadowi, puściwszy sprawę dalej porządkiem prawnym, ale bez końca psot wyrządzał Serebrzyńcom, co mu zresztą z nawiązką oddawał Stefan Wilczura, który do tego rodzaju wojny partyzanckiej wiele miał sprytu i ochotę niezmyśloną. Zajmowało mu to przyjemnie chwile, któreby był darmo przeziewał u komina. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Serebrzyńcach kiedy gości zabrakło, zajęcia, zabawy i pracy co się nie rzadko trafiało, bo z natury swej Wilczura był czynny, i rzadko gnuśniał w spoczynku; komin naówczas poleski był mu towarzyszem samotności i pociechą w tęsknocie. Mało w którym na Polesiu dworze nieznajdziesz tego komina, będącego zabytkiem może starych Zniczów tej krainy. Jest to ogromna, przysadzista budowa, w poufałej umie-

szczona komnacie, na której dniem i nocą, zimą i latem goreje płomię niewygasłe. Kładą nań grube, suche kloce, umyślnie przysposobione. i utrzymują niemi niewygasły ogień, który nidy nie bucha płomieniem wysokim, ale też nigdy nieustaje. Przed nocą kłody tak się zwykle wyrachowują, żeby do ranka przykładać nie było potrzeba, a o świcie na żarzące węgle nowy pokarm przybywa. Olszyna i brzezina podsycają ten stos, który widocznego żadnego nie przynosi pożytku, a zimą kradnie ciepło z pokoju, ale z niego węgle roznoszą potrzebną podpałkę po całym dworze, i światełko to czuwa po nocach nad pustem domostwem. Przy takiem to ognisku pan Stefan zwykł był czasem długie spędzać godziny, zadumany i smutny, nogę założywszy na nogę, z oczyma wlepionemi w niebieskie płomyki, igrające na pąsowych węglach olchowych. Tu układał projekta wypraw, polowań, wyjazdu w sąsiedztwo i wszelakiej zabawy, tu go szukano gdy w domu nie stało, i córka przychodziła niekiedy dzielić jego samotność i rozweselać ją szczebiotaniem naiwnem. Pokój z kominem otwarty był tylko dla domowych i poufałych, gości nie przyjmował w nim nigdy gospodarz, i znakiem może największym jego przyjaźni i pobratania było przypuszczenie do wielkiego komina.

Teraz tworzyły się tu coraz nowe pomysły do płatania figlów sąsiadowi, nie dającemu się w nich wyprzedzić, z tą różnicą, że pan Stefan więcej w nich ukazywał wrodzonego dowcipu, a pan Samuel więcej złości i gniewu. Oba w ten sposób oznajmywali sobie że żyli i niezapominali urazy. Nie minął tydzień żeby z obu stron szkody nie wyrządzono, a choć rzadko złapał jeden drugiego na gorącym uczynku, wiedzieli oba co to znaczy. Tu rozrzucono mostek z kretesem, tam wypasiono żyto, ówdzie stratowano łąkę, indziej podcięto sosnę masztową, ogrodzoną i naznaczoną, wydarto barć, i było tego bez końca. Ale zazwyczaj tak się to odbywało pokryjomu i ostrożnie, że nie wiedzieć, na kogo się było skarżyć, gdyby do skargi była ochota. Tylko że się do tego uciekać nie myślał ani jeden ani drugi, starali się tylko nie pozostać w długu i piękne oddać za nadobne.

— Co też to tam kochany sąsiad skomponuje mi? mawiał siadając u komina pan Stefan, — i czemby mu się wypłacić?...

A gdy ekonom przyszedł z oznajmieniem o szkodzie lub psim figlu, często Wilczura w ręce splasnął z uśmiechem, jeśli figiel był dobry i wykonany zręcznie. Wcale inaczej to przyjmował pan Samuel, którego wszystko jątrzyło i gniewało, tak że ludzie jego płacili skórą za każdą prawie szkodę, której się upilnować nie mogli. Żużel latał jak opętany, niedosypiał nocy, konie zajeżdżał, ale panu Stefanowi nie mógł sprostać.

Zaraz następującego roku ledwie się na trawę zaniosło ni stąd ni z owąd całą trzodę z Krasnego, konie, bydło, świnie, kozy, których w Polesiu tyle trzymają, zapędzono przed świtem na pogrudzie i nietyle spasiono jak stratowano sianożęć tak, że przez tygodni parę czarna była gdyby rola. Pan Stefan zniósł to, ani słówka nie pisnąwszy, ale oddał na tyluż morgach żyta, które świńmi dworskiemi zrył i zbił ze szczętem, zapędzając je tam po nocach. Sianożęć odrosła bujnie, siano pokoszono, i jak zwykle złożono w stogi na gruncie sąsiednim, ale oba stogi popałiły się w dwa dni po zawierszeniu. Tydzień nie upłynął, odryna w Krasniańskiem lesie ze wszystkiem spłonęła, tak że dla koni musiał pan Samuel kupić, i otawę dawać bydłu.

Kopiec nowo usypany jednej nocy rozsypano, za co wywdzięczając się zaraz Wilczura zrąbał Semenową barć i na sośnie drugiej, bliżej Krasnego leżącej, pszczoły postawił i znaki graniczne pokładł. Poszły obustronne manifesta, nakazano wizją na gruncie, a tymczasem nazwisko Semenowej barci przeszło powoli na młodszą jej siostrę.

Bydło zabierano co trzeci dzień i nie upominano się już o nie, jeśli łaska była wypędzonemu na paszę powrócić chyłkiem do domu to dobrze, jak nie, już się z nim ani chłop ani dwór nie zobaczył. Skończyło się na tem że zamiast dwóch pastuchów, wychodzili z obu stron i pastusi i strzelce z ponabijanemi rusznicami wartując koło stada. Ale by tego na wołowej skórze nie spisał, ile napłatano wzajemnych psikusów, a stara nienawiść czerwonych pasów do czarnych i czarnych ku czerwonym, co się już była nieco przytłumiła, znów poczęła brać górę i dwie wioski biorąc stronę swych panów otwartą rozpoczęły wojnę. Nie było jarmarku w miasteczku żeby Kraśniańcy nie oberwali guza od Serebrzynieckich i nie powadzili się gdzie z niemi na drodze; nie było karczmy żeby w niej nie opowiadano jakiejś bójki ich lub napaści. Jedni na drugich wymyślali dziwy i waśnili się jak psy z kotem. Ale i tu Serebrzyniecccy zamożniejsi, silniejsi liczbą, zuchwalsi, prym brali nad czarnemi pasami, a duch pana zdawał się ich podtrzymywać.

Proces wlókł się tymczasem powoli.

Wśród tej zabawki, która panu Stefanowi dostarczała materyi do konceptów i opowiadań na każdem zgromadzeniu, dorosła córka wdowca lat, w których o niej pomyśleć musiał. A była to właśnie chwila w której zwichnieni z dawnych wyobrażeń naszych o kobietach, poczynaliśmy śnić dla nich coś więcej nad domowe i gospodarskie wychowanie prababek naszych. Panu Stefanowi też poglądającemu na swoją ukochaną donię, różne względem jej edukacyi przychodziły do głowy pomysły, i już się z nią to do Warszawy to do Wilna wozić zamyślał, gdy od rodzonej swej siostry, będącej w Wilnie exprzełożoną u panien Wizytek, odebrał pismo nalegające by dziewczę na lat parę oddał pod jej skrzydła.

A trzeba wiedzieć że nie było wówczas lepszego i

dystyngowańszego wychowania nad to jakiego udzielano w klasztorze panien Wizytek wileńskich. Zgromadzenie to samo składało się powiększej części z osób znakomitszych rodzin i arystokratyczniejszego świata, mogło więc i umiało kierować wychowaniem powierzonych sobie dziewczątek, tak aby je i do Boga i do świata ukształcić. Były mistrzynie języków, muzyki, śpiewu, tańca nawet i w ogólności wszelkich talentów, jakich po kobietach wymagać zaczynano, ale przytem były godziny modlitwy, rozmyślania, i kościoła, nauka posłuszeństwa, pokory i skromności. Zalecało to naówczas pannę niemało, gdy się pochlubić mogła że wyszła z klasztoru panien Wizytek wileńskich, które słynęły szeroko ze swej pensyi nielicznej i nieprzystępnej dla samej ostrej klauzury klasztornej, ale ze wszech miar pierwszej w kraju. Otrzymawszy o tem wiadomość szczegółową pan Stefan, który tego tylko czekał, chwycił się sam sposobić do drogi, kazał wybierać pani Pańczewskiej i postanowił rozstać się z swoją córką w nadziei że po lat parze cieszyć się będzie owocami swej ofiary.

Już mu tam z głowy wyszły i sprawy o granicę i wojna z sąsiadem, i ledwie na wyjezdnem ludziom niezapomniał zalecić pilności, tak się do Wilna szybko wybierał.

Jednakże na wsiadanem dał około tego instrukcyą szczegółową panu Józefowi Dymkowskiemu, którego na gospodarstwie w Serebrzyńcach zostawiał, i w dwie bryki zaprzągłszy ośm tłustych podjezdków, do Wilna się posunął.

Dziwną to było rzeczą w całym tym sporze sęsiedzkim, że paweł Zużel, prawa ręka pana Samuela, i Dymkowski rządzca Serebrzyniecki, pokrewni sobie, choć panom swoim wiernie służyli, byli z sobą w jak najlepszej zgodzie. Rodzice ich mieszkali w jednej okolicy szlacheckiej i chłopaki jednolatki za młodu się pobratali, a przyjaźń ta przetrwała wszelkie pokusy zwaśnienia, chociaż ich było nie mało. Ani Paweł ani Józef nie zdradzili nigdy panów swoich, nie wypaplali się z niczem niepotrzebnem, ale nikt nad nich szczerzej się za spotkaniem w oba policzki nie całował i serdeczniej nie ściskał. Przyjaźń ta zresztą tak była cicha i rzadko się objawiająca, że ani podejrzliwy Hawnul, ani Wilczura, za zle jej swym sługom nie mieli.

Po wyjeździe pana Stefana do Wilna, na jarmarku w miasteczku spotkali się Zużel z Dymkowskim; a że ich wywnętrzeniu się nic na zawadzie nie stawało, długo się i poufnie rozgadali z sobą, przy kwarcie miodu starego, którą czuł jeszcze w głowie Zużel powróciwszy po dyspozycyą na dzień jutrzejszy do Krasnego. Wyszedł do niego Hawnul blady, milczący jak zwykle, ponury, niedowierzający, a że z rozmowy o gospodarstwie wpadli na sąsiada, zapytał:

— Cóż tam ten łajdak?

Zużel domyślił się o kim mowa i wyśpiewał:

— Pojechał chwała Bogu w drogę i na jakiś czas będziemy od niego wolni....

— Dokąd? podchwycił Hawnul.

— Do Wilna..i córkę ma w klasztorze umieścić....

Na te słowa pan Samuel który chodził po izbie, zastanowił się nagle i jako by go kosą podciął, języka w gębie zapomniał. Zużel nawet mimo miodu który mu głowę mącił, postrzegł że dotknął jakiejś struny drażliwej, ale nie pojmował co tak strasznego powiedział w kilku prostych wyrazach, które powinny były ucieszyć raczej Hawnula, niżeli go tak zmięszać.

Nie odezwał się już ani jednym wyrazem dziedzic Krasnego, padł na stołek, ręką sparł na kolanach i dawszy znak ekonomowi, pozostał tak zadumany głęboko.

— Kat go wie co mu się stało, powiadał później Żużel, ale postrzegłem że go i złość i fantazja i impet zwykły. gdy o sąsiedzie mówił, całkiem opuściły. Chandra i po wszystkiem! pomyślał ekonom przywykły do jego wybryków.

Nazajutrz toż samo, Hawnul gadać nie chciał, zamknięty był z żoną, i ledwie się pokazał, nie inaczej i dni następnych. Parę razy tylko zaczepił choć ze wstrętem Żużla o sąsiada, usiłując go dopytać, kiedy go się w Serebrzyńcach spodziewają z powrotem. A co najdziwniejsza nie wydał żadnego rozkazu napaści na teritoryum sąsiednie, z czego, z powodu swej przyjaźni z Dymkowskim, rad był bardzo Paweł. Nic się z resztą w życiu Hawnula nie odmieniło, krom tego że jeszcze bardziej siedział zamknięty i na gospodarstwo obojętny, a często gęsto o powrót Wilczury zapytał.

(C. d. n.)

KOLENDA *)

Aniołek biały, w szacie różanej
Błysnął pastuszkom jasnością,
A był zwiastunem wieści żądanej,
Serca im natchnął miłością;

I poszli spiesznie, poszli bez zwłoki
Ku betlejemskiej stajence,
I gdzie w jaskini żłobek głęboki,
Zastali w białej sukience:

Dzieciątko małe, co z krain nieba
Zstąpiło tutaj na ziemię,
By nas nauczyć, jak żyć potrzeba,
I cierpień znosić swych brzemię.

Chrystus człowiekiem i Bogiem razem,
Przyniósł nam prawdy nasienie,
Zasmucił strasznej śmierci obrazem,
Ale otworzył zbawienie.

W żłobie ubogim leżał spowity
Lecz światłość jasna u czoła,

*) Wiersz 17letniej panienki.

Uroczo lśniła, jak puch rozwity
Śnieżystych skrzydeł anioła.

A przy nim Maryi najświętszej lica
Ćmiły swym blaskiem koronę,
Jak w Jeruzalem pańska świetlica,
Płonęło serce barwione.

Ołtarz pokory i wiary czystej
Stroił wianuszek liliowy,
Miłość jak krzyształ duszy przejrzystej
U stóp złożyła Jehowy.

A taka jasność z jej oczu biła,
Że aż płomyczek światłości
Padł nam na dusze i myśl wstąpiła
Wiary, nadziei, miłości.

I dziecię Jezus się uśmiechało,
Widząc jak Maryi spojrzenie,
Już odkupienia zaczyna dzieło,
Z dusz nam strącając chmur cienie.

Więc Józef ukląkł i święte pienia
W granie zanucił pasterzy,
I czysty posłał głos dziękczynienia
W górę z kąd światłość ta bieży.

A tam od wschodu gwiazdy promienie
Trzech mędrców wiodły do pana,
Szli by oglądać świata zbawienie,
Gdzie jasność łaski rozlana.

Pokłon i cenne przynieśli dary,
Lecz milsze panu nad złoto,
Były ich serca czyste ofiary,
Które złożyli z ochotą.

A wiara boska, jak strumień zdrowy,
Jak balsam czysty, proroczy,
Myła zbrudzone serca i głowy,
I ciemne przejrzały oczy.

A w serca królów wierzących wiernie,
Wstąpiła siła nieznana,
By mogli znosić żywota ciernie,
Nim staną przed tronem Pana.

Pokłon dziś, pokłon złóżmy Jehowie,
Za zbawiciela zesłanie;
A może jasnych stref aniołowie
Usłyszą nasze wołanie!

Modlitwy słowa w hymny przetworzą,
Myśli w pobożnych dusz pienia,
Serca rozbudzą jasnością bożą,
Co czystą wiarę zpromienia.

K. B.

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Wów czas niebyło to nic dziwnego, widzieć wchodzących w dom gości w zupełnym moderunku. Prędzej zdziwiono-by się, gdyby weszli bez broni. Były to smutne czasy konfederacyj, a lada zdanie, lada jakibądź odrębny pogląd na sprawy kraju, starał się mieć swoje własne organa, i przez nie do odrodzenia swego społeczeństwa dążył. Takich to organów opinii i czynności publicznej nawiązało się w kraju co niemiara, a sąsiad nie wiedział o sąsiedzie, iżali mu nie jest przeciwnikiem. Wprawdzie zgadzali się wszyscy w tem przekonaniu, że śmierć już blisko, że naród ginie, lecz nie wszyscy jedne i te same radzili środki. Jedni byli to lekarze uczciwi, pełni poświęcenia, lecz w bezrozumie swoim podawali do ust chorego truciznę, miasto lekarstwa skutecznego. Mało było takich, co wiedzieli o truciznie, a większość, pełna uczuć szlachetnych, za nadto w cnotę ufała, aby podejrzywać, a za mało widziała, aby obaczyć.

Życie narodu skupione dotąd w koronie, rozstrzeliło się po całym kraju i podzieliło go na niezliczone, udzielnie żyjące cząstki. Zdawało się dotąd, że naród, to pojedyncze członki korony, zkąd udziela się mu ruch i życie. Dzisiaj zaś stał się ten naród pociętą na sztuki gadziną, która żyjąc w każdej cząstce udzielnie, rzucała się w konwulsyach bez myśli i bez celu, bo jej od głowy i serca zabrakło przyrodzonego ruchu i ciepła.

Taki to obraz przedstawiało ówczesne społeczeństwo polskie. Stanisław August siedział na tronie, od którego odcięto wiążące go z narodem pasmo uczuć, a widząc krwawe znaki na ziemi i na niebie, bolał w swej duszy i nad przepaścią oczy zakrył.

Bez władzy, bez wpływu, niemając żadnego z tych przymiotów, jakich wymaga historya po ludziach, którzy w czasach przeobrażenia na przód się wysuną, czepiał się król wszystkiego, co mu tylko na prędce doradzono, a czepiał się jak tonący brzytwy. Przechodził on raz po raz najdziwaczniejsze wyobrażenia, i niebył nigdy pewnym iżali tego co dziś potępił, nie uzna jutro za słuszne, a nawet może sam na czoło się nie postawi.

To też nie mając ufności w zasady i dążenia króla, podzielił się kraj na liczne konfederacye, a chociaż wszystkie jeden i ten sam cel mieć by powinny, były jednak i takie, co stały przeciwko sobie. A przecież nie można na nie rzucić kamieniem, bo krom kilku przewodzców, wszyscy działali wedle swego serca, a to było zawsze czyste i szlachetne. Jeżeli jakie złe skutki ztąd wypadły, to pochodziły z nieświadomości rzeczy, z płytkiego poglądu na czas swój, a mianowicie, głównym tego powodem był ów wrodzony efemeryzm charakteru naszego, który przy najspokojniejszem sumieniu, pozwalał nam z jednej za-

sady, w drugą, z jednego zdania w inne, z jednego stronnictwa w drugie się przerzucać.

Programat każdej konfederacyi miał zawsze tyle ponętnych ogólników, tyle złotych ziarn, rzuconych jak wędka ludziom, za natchnieniem chwili idących, a mało w przyszłość patrzących, że stronnictwo rosło więcej przez przypadki, niżeli z zasady. Toż nie trudno było widzieć czasem braci przeciw braciom, a to dla tego, że ich rozdzielała większa przestrzeń, że zachwyciwszy pierwszej inspiracyi, uczynili z niej natychmiast akt wiary.

I naczelnikom nawet samym często się to przytrafiało. Nieraz dążyli oni, zdawało się, samoistnie, a w końcu spostrzegli się, że byli narzędziem w obcym ręku i w obcych działali celach. Ztąd powstało jeszcze większe rozdrażnienie umysłów, rzucano potwarze, uderzano wzajem na siebie, i rozrywano się na coraz mniejsze związki.

W takim to czasie niezadziwiał gospodarza gość zbrojny.

Wnuk odemknął szybko drzwi, podczas gdy staruszek kilka kroków przed progiem stanął, by z godnością wieku swego przybywających powitać.

Weszło ich pięciu. Trzech z nich zbliżyło się do staruszka, a całując mu rękę, ujęli go za kolano. Dwaj inni: „laudatur Jesus Christus” powiedziawszy, przy drzwiach się zatrzymali.

Po przywitaniu które z kolei i na wnuka przyszło, usiadł starzec w dużem, poręczowem krześle, a konfederaci otoczyli go w koło. Mieli oni na sobie żupany czarne, krótkie, na wierzchu kontusze słomianego koloru, i czarną czapkę z siwym barankiem na głowie. Jeden tylko z nich miał na sobie barwy czerwone, przy których wybornie odbijały rude jego włosy. Twarz jego była podłużna, blada, czoło wysokie i pomięte. Otaczający go byli wszyscy rumiani, czarnych włosów i wesołego oka.

— „Et verbum caro factum est,“ przemówił staruszek, wpatrując się z rozrzewnieniem w swoich Machabeuszów, z których każdy na to zaszczytne imię sobie zasłużył: — *nunc volo mori*, powiem z Symeonem, bo oczy moje was ujrzały, i do tego w zgodzie — jak Bóg przykazał.

— Zgoda u nas — odparł najstarszy — to gwóźdź zadrzewiały, gdy chcesz nim co spoić, to się zegnie jak słoma.

— Wszakże *hostilitates* między naszymi ustały, odkąd w Radomiu *in armis* stała się *concordia*. Wiele bowiem już się dobrego uczyniło, gdy taki mąż zacny, jak Karol Radziwił laskę marszałkowską dzierży. Alboż mu tam miło, że z Czartoryskim być musi, co to o takim królu dla Polski marzy, którego jak we Francyi, otaczaliby same duki i grafowie. A biedna szlachta byłaby wtedy *plebs*, a jej *veto* złożonoby w jakim lamusie, jak się dzisiaj składają kontusze i pasy złotolite. Tego jeszcze potrzeba, aby człowiek dożył! Ale tak nie będzie, co mówicie? Jakie tam aspecta — *quid dicit augur* ?

— *Malum omen*, odrzekł najstarszy z nich, a jeżli dzisiaj wszyscy razem tu jesteśmy, to wypełniamy wolę naszego rodzica; *hodie enim flat Boreas*.

— Dawno ci to mówiłem, że tak będzie, przerwał mu młodszy, ale u nas dzisiaj, jak i zawsze *quot capita*, *tot sensus*.

— *Ante omnia*, ozwał się rudowłosy, trzeba każdemu *libertatem conscientiae*, na tem funduje się złota wolność rzeczypospolitej.

— Aleźbo tu nie chodzi o libertatem conscientiae, odrzekł mu brat starszy — ale o wigor rzeczypospolitej, bez którego żadnej prawdziwej wolności być nie może!

— Discordia, zawołał staruszek — discordia!

I złożył kościste ręce i na intencyą pogodzenia braci poważnionej odmówił po cichu modlitwę. Wszyscy pochylili głowę w pokorze i zdawali się modlić ze starcem, tylko po bladych licach rudowłosego przebiegł jakiś uśmiech ironii.

— Toż konfederacya w Radomiu na niczem się skończyła? zapytał po chwili starzec.

— Konfederacya w Radomiu miała tylko przeszkodzić królowi otrząść się z wpływów niecnych, i tylko tak krótkiego wzroku ludzie, jak książę Karol, a tak złej wiary jak referendarz, ksiądz Gabryel Podoski, mogli się dać użyć do dzieła, którego nie pojmowali lub pojąć nie chcieli.

— Wszak sam król przystąpił do konfederacyi.

— Prawda, przystąpił! Cóż innego pozostaje biednemu podróżnemu, gdy wpadnie pomiędzy zbójców, jak udać się pod ich opiekę!

— Sancte Augustine! Co się tu dzieje! Rozum nasz stary nie wystarcza już, aby to wszystko pojąć. Na to potrzeba więcej, niżeli nauki pijarskiej.... Bo jakże to teraz pogodzić, na którąż stronę przychylić się można konwinkcyą? Nie ma to jak to dawniej bywało, *unus rex*, *unus hostis!*

I spójrzał staruszek koleją po antenatach, a wyraz niezadowolenia rozstroił sędziwe jego lica.

— Unus Deus et una ecclesia, dodał najstarszy, spoglądając na rudowłosego.

— Et unum jus pro omnes — zakończył tenże.

— Każdy działa według swego sumienia, i Bogu tylko winien jest zdać z tego sprawę.

— Ja mówię, że tylko w królu zbawienie nasze. On płacze i modli się za tymi, co jego dobrych chęci nie rozumią!

— Nie zawsze płacze — odparł drugi; — deputacya, wysłana od sejmu, aby mu donieść o wypadku nocy 13. października, zastała go obłożonego muszelkami, i malującego ubiór strojny, w którym miała wystąpić jego służba w rocznicę jego koronacyi!

— W dniu świętej Katarzyny!

— Aleźbo biskup krakowski tak na sejmie przema-

wiał, zawołał rudowłosy Toruńczyk, jakoby nuncyusz papiezki był królem w Polsce. I biskup kijowski nie wart był lepszego losu. Nie ma to jak król Fryderyk pruski, on to pisuje do Woltera, który nie bardzo wielkim jest katolikiem, a za jego radą wspiera wszędzie uciśnionych, którym nie wolno wedle swego przekonania wyznawać.

— O wy z waszym Frycem zajdziecie daleko!

— Nie zyskacie więcej z waszym królem!

— Idźcie, sprzedajcie liberum weto, ten klejnot dziadów naszych!

— Lepiej niżeli słuchać rozkazów Repnina.

— A przecież ten Repnin rozkazuje nam konserwować dawne nasze swobody!

— Zapewne, zapewne!

— Sanctissima virgo — zawołał starzec — *maxima opinionum discordia!*.... A cóż sejm na to?

— Sejm? może być sejm po nocy 13. października? *)

— I cóż to było tak strasznego?

Tutaj przystąpił jeden z braci bliżej staruszka i począł ciszej coś opowiadać. Ruchy jego były żywe, oko błyskało ogniem piorunowym, a często brzękła szabla, uderzona silną dłonią. Widać było w nim przyszłego Barkiego. Toruńczyk słuchał opowiadania z ironicznym uśmiechem, nawet z politowaniem. Najstarszy stał z pokojnie, z twarzą zimną i trzeźwem okiem, jako przyszły dygnitarz koronny.

Z natężoną uwagą słuchał starzec opowiadania, a usta jego drgały konwulsyjnie. Kilka razy ruszył ramieniem, jakby rwał się do korda, ale prawica jego była bez władzy, i nieusłuchała wyzywającej myśli. Z połysku oczu jego widać było okropną walkę która odbywała się między silnym, wiecznie młodym duchem, a ciałem starem i starganem.

Zdawało się, że sędziwy starzec już był przeżył swoją epokę, i strawił się, dźwigając na silnych barkach nie jedno pasmo zdarzeń swojego czasu. Gdy atoli ciężar nowego wieku nie na barkach ani na zbroi, ale w myśli i w sercu narodu oparcia szukał, starzec stanął samotnie śród gruzów dawnej budowy, jak filar olbrzymi, któremu odjęto ciężar, co na nim przez tyle spoczywał wieków!

Powoli gasnął blask jego oka, lica odziały się bladością przezroczystą, a pod ciężarem bólu chyliła się głowa i barki, które niegdyś urągały ciężkiej broni przeciwnika.

Wszystkich serca opanowało jakieś wielkie, tragiczne uczucie.

Po chwili milczenia ozwał się staruszek:

— Kiedy kraj miał do zwalczenia wroga znanego mu ze zbroi i języka, to szedł śmiało przeciw niemu i go zwyciężał. Lecz gdy trzeba walczyć z tem, co się w drugiego mózgu wylęgło, na to nie znam rady ni ratunku. Może za nadto żyję na ziemi i nie widzę tego, co wam jest jasne jak słońce. Przedemną zamierzch i noc, oby wasze oczy lepiej widziały!

— Jasne jak słońce jest prawda, ozwał się Toruńczyk, która kraj nasz zbawić może. Bez niej nie może istnieć żadna swoboda społeczna.

— Jakaż to jest to prawda? zapytał się drugi.

— Nieograniczona wolność sumienia. Stała się ona dzisiaj już prawem narodów ucywilizowanych, a Polska w tyle nie może pozostać. Do tej wolności musi dążyć, chociażby pod wpływem obcym!

— Tylko z wiarą w sercu, ozwał się najmłodszy, możemy chwycić za ten oręż który nam obiecuje, że *„in hoc signo vincemus.”* Tylko godło: *krzyż a miecz*, wróci nam naszą dawną wielkość i niepodległość.

— Te wszystkie nowacye wasze, rzekł inny, te zachcenia reformatorskie tylko do zguby prowadzą. Naszą rzeczą jest, konserwać to cośmy w ciągu historyi naszej zdobyli, a tem jest: wolność nasza złota, równość szlachecka, veto i całe pacta conventa. Kto te kardynalne zasady rzeczypospolitej podkopuje, ten kopie grób ojczyznie.

Umilkli bracia i spojrzeli po sobie. Zdawało im się że w kraju już trzy wytyczono obozy i że każdy do innego należał.

Ale staruszek nie wiedział o takiem rozdwojeniu synów swoich. Z przygasłą źrenicą, głowę na piersi schyloną, spał on już snem odpoczynku, jak spracowany robotnik. On swego czasu już nie pojmował, i usunął się z kolei żyjących, których krzywd nie mógł znieść ani pomścić.

Synowie jego rozdzielili między siebie trzy wielkie swego czasu dogmata i każdy z nich poszedł walczyć pod znakiem swego wyznania.

Były to atoli dogmata bezwzględne, każdy w swym sposobie słuszny, a żaden z nich do dziejowego narodu rozwoju nie przydatny.

Na takich bezwzględnych dogmatach opierają swoje działania ludzie, którzy z przeszłości żadnej nie wynoszą nauki, a w przyszłość patrzeć nie umieją. Żyją oni, jak ich zasady bezwzględne, bez dzisiaj i bez jutra, z tą atoli różnicą, że ich zasady nie mając czasu, są wieczne, a oni jednodniówkami.

Najmłodszy Junoszów potomek patrzał dziwnem okiem na scenę, której był świadkiem, a której właściwego wyrazu, mimo całej pijarskiej nauki, odczytać nie mógł.

(C. d. n.)

---

*) Wnocy z 13. na 14. października, porwani zostali posłowie sejmu i w głąb Rossyi wywiezieni: Kajetan Sołtyk, biskup krak. Józef Załuski biskup kijowski. Wacław Rzewuski, hetman polny koronny i syn jego Seweryn, starosta doliński. Książę Repnin wydał potem deklaracyą: »że wielki poseł imperatorowej chciał tym czynem okazać, jak daleko rozciąga się jego pełnomocnictwo.»

Ziemia Bełzka.

(Dokończenie).

Okolicę zamieszkują i majętniejsi, i odwrotnie — i właściciele i dzierżawcy, i z tytułami, i prosta szlachta, ale mimo to owej doskonałej równości towarzyskiej nie nadwereża tu bynajmniej korona o dziewięciu w herbie perłach, lecz z poczciwą, starej daty szlachecką tarczą w uprzejmej harmonii i zgodnej żyje jedności. I niemożna powiedzieć by taki tu karmazynowy sąsiad:

Na to tylko w dom cię prosił, by cię dumą upokorzył
Bo łaskawie ledwo znosi, że i ciebie pan Bóg stworzył.....»

Nie, bo według poczciwości, zasługi głowy i serca sądzą i znać tu chcą jeszcze ludzi, a nie wedle majątku tylko, a tej *bełzkiej cnoty* doświadczy na sobie każdy. Choćby najbliższy sąsiad, choćby największy bogacz, jeżeli jedynie bogactwy się zaleca, a krom tego nie posiada nic, to też podwórze takiego biedaka, jeżeli tu jest gdzie taki, zarasta wieczną trawą, a w pełnym próżnego wytworu dworcu, przyjaznego sąsiada nie usłyszy głosu! I gdzież indziej proszę, znajduje się dziś podobny, wolny, a powszechny sąd opinii, i podobna towarzyska cnota?

Wykształcenie umysłowe jest tu różne, ale za to serca jednakie, mimo to są i tacy, coby gdzie indziej za luminarzy uchodzić mogli. Tu atoli przetrawiają oni swoje usilną pracą nabyte skarby, w cichości, bez pretensyi przewodniczenia lub narzucania drugim swego zdania, a nawet dobrowolnie zniżając się w potrzebie do pojęć większości.

Polski język przekładają nad każdy inny, a chociaż i francuski w każdym niemal tu domu nie jest obcym, bo i zresztą któż jest dziś jeszcze — coby mniej więcej po francusku nie mówił? ale mowę tę, jedynie przez *dyletantyzm*, a bez potrzeby koniecznej w towarzystwie praktykowaną, raz tylko, i to po za granicą już *bełzkiego* słyszałem. Bo tutaj dla niepojętej ci próżności, macierzystej mowy i sami niezastępują obcą dla serca i ucha, ani dziecka z pieluch już nie muszą aby *pierwszą modlitwę*, pierwsze święte słowo *Matka*! i pierwszy objaw myśli, cudzemi wyszeptało słowy! Nie, bo przedewszystkiem u nich swoje, a potem dopiero *cudzego* tyle tylko nauczą, ile potrzeba konieczna w rozmaitych i nieprzywidzianych życia kolejach wymagać może: właśnie tak, jakby tu w każdym niemal sercu wyryty i pamiętny był ów sprawiedliwy wyrzut jednego z wieszczów naszych:

„Płaczmy nad leżącą w ruinach budową,
„Na którą w gniewie swoim dmuchnął pan Syonu
„A z sercem rozdwojonym, z *pomieszaną mową*
„Chcielibyśmy podźwignąć wieżę Babilonu?
„O Matko! naucz chociaż tyle swego Syna
„Aby po śmierci znalazł odpowiedź gotową
„Gdy nań krzykną przodkowie, jak Bóg na Kaina
„Nieszczęśliwy! coś zrobił z ojców twoich mową?

Cała ta poczciwa ziemiańszczyzna, o miedzę ledwo od siebie mieszkająca, o wieleby ściślej jeszcze i przyjemniej żyć mogła, gdybyś choć jeden taki z majętniejszych dom się znalazł, któryby się stał owym zbiorowym punktem zjednoczenia ogólnego, któryby jednem słowem, dał ton okolicy. Ale podobny dom jeden tylko w tych stronach może jest, co byłby w możności zadanie to przeprowadzić z łatwością. Ale.. do tego potrzeba pojęcia i przejęcia się ważnością podobnego celu, a wreszcie owej popularnej łatwości, którą atoli hojne z kąd inąd nieba, nie każdego obdarzyły!

Niech mnie nikt nie posądza z tego tu opisu, czy to o przesadną poezyą, czy też o chęć acz wonnego, ale zawsze małodusznego panegirykowania. Malując całość, nie zapuszczam się w szczegóły, nie zaprzeczam wcale nawet, że między temi trzema skreślonemi stanami znajdą się zapewne jednostki, co cień rzucają na ten obraz. Ależ bo z drugiej strony jakażby to była harmonia i jaką by wartość miał ów piękny obraz, gdyby jaskrawych jego barw i światła, chociaż posępne, ale konieczne nie mitygowały cienie? I w samej rzeczy są tu cienie ale plamy się niedopatrzysz. Rekapitulując zaś ten opis *Bełzkiej ziemi*, powtórzyć śmiało możemy to co nasz ulubiony piewca *Wincenty* wyrzekł gdzieindziej:

«A przy szklance, pogadance,
Jeżli spomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu
I ojczystym twym zagonie,
I o dziatwie, i o Bogu,
Toś mu zabrał duszę całą,
To i we łzach się rozpłynie
I przebaczy, lub pominie,
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.»

«Choć to swoje, człek się kusi
I pochwalić co się godzi
Nie zła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzie rodzi”......

A. G.

Rozmaitość.

* Dnia 27. lutego odbędzie się widowisko teatralne na korzyść towarzystwa dobroczynności, przez amatorów sztuki scenicznej w teatrze hr. Skarbka. Grane będą dwie sztuki: Mon etoile komedia Scribego w przekładzie niemieckim, i Kontrybucya komedya Kotzebuego w przekładzie polskim.

* Młyn parowy na Grodeckiem, przedsiębierstwo pana Domsa ma stanąć w jak najkrotszym czasie. Tego lata ma być ukończony. Już dotąd sporo z fundamentów wzniesiony. Kosztować będzie 150.000 złr. m. k.

* Smutnem zjawiskiem dla czytelników Czasu są Muchomory. Słusznie korespondent nasz z nad ujścia Wisłoki powiedział, iż Muchomory nie tylko muchy ale i biednych czytelników usypiają. Ob-

jawia się w nich wyraźna fixacya. Prawie wszystko wystosowane tam jest do jednego z pisarzów który swemi artykułami, wymierzonemi przeciw Czasowi, tak dokuczył piszącemu muchomory, iż ilekroć tenże pióro weźmie do ręki, jak straszne widmo staje ów nielitościwy pisarz przed nim. Biedny Muchomor niema spokoju wstając i legając. Wszystko więc co pod tym wpływem pisze, odnosi się do tej jednej *idèe fixe.* A choroba ta zamiast ustawać z czasem, wzmaga się coraz więcej w Czasie. Gdyby kto jakie lekarstwo wiedział na nią, niech raczy je przesłać nieszczęśliwemu Muchomorowi, a wielką przysługę wyświadczy czytelnikom Czasu.

* Do dzisiejszego Numeru dołączona jest kartka tytułowa i spis rzeczy do trzeciego tomu Nowin z r. 1854,

Przyjechali od dnia 15. do 16. Stycznia do Lwowa.

PP. Wajdowski Paweł, z Barszczowic. Nowosielski Ludwik ze Zbory. Bromirski Michał, z Rusina. Stepnowski Władysław, z Firlejówki. Starzyński Leopold hr., z Mogielnicy. Gnoiński Aleksander, z Krasnego.

PP. Czermiński Juliusz, z Glińska. Urbański Rudolf, z Dobrosina. Padlewski Apolinary, z Czabarówki. Paygert Stanisław, z Krzyweńki Morawski Włodzimierz, z Oleszy. Torysiewicz Maurycy, z Ostrowa. Chyliński Adolf, ze Złoczowa.

Wyjechali dnia 15. do 17. Stycznia ze Lwowa:

PP. Nowosielski Ludwik, do Zbory. Smarzewski Franciszek, do Bejdanic. Tyszkowski Jan, do Kalnego. Tyszkowski Antoniego z Michałówki. Żurakowski Jan, do Zadarowa. Stojałowski Juliusz, do Podhajec.

PP. Niezabitowski Napaleon, do Krakowa. Rubczyński Wincenty, do Zameczka. Wilczyński Włodzimierz, do Parchacza. Strzelecki, Jan, do Kukizowa. Malczewski Juliusz, do Skwarzawy.

Kurs telegrafowany z Wiednia 17 b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr. .	127	Pożyczka 5% 83¾ 4½	72⅝
Hamburg za 100 tal. banco	93⅞	Akcye banku	1032
Londyn za 1 funt szterl.,	12 15	Kolej północna	1975
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	75
Paryż za 300 franków .	147¾	Nowa pożyczka z loteryą	101 15/16
Agio duk. ces.	31½	Pożyczka narodowa . .	—

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	51	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	«	5	»	55	»	5	«	58
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	9	»	10	«	12
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	90	«	50	»	91	«	10
Obligacye. indemnizacyjne z kuponami		75	»	15	»	75	»	30

Lwów 17. Stycznia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po — złr. — kr. do 34 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. — kr do 27 złr. — kr. Jeczmienia po 21 złr. — kr. do 22 złr. — kr. Owsa po 18 złr. 45 kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 17 złr. 45 kr. do 22 złr. 30 kr.— Ziemniaków po — złr. —do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 37 złr. 30 kr. do 45 złr. Sosnowego po 29 złr. — kr. do 31 złr. — kr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 50 kr. Centnar słomy 2 złr. 40 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Do dzisiejszego Numeru dołączone jest uwiadomienie księgarni p. J. Millikowskiego.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**